ŻYCIE

ROCZNIK I. ZESZYT VII.
DNIA 12. LISTOPADA 1910 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor naczelny: GUSTAW DANIŁOWSKI.
Redaktor odpowiedz.: JULJUSZ ŁOPATKA.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA WE LWOWIE,
:: ULICA DWERNICKIEGO L. 11 A. ::

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ"
(„KURJERA LWOWSKIEGO") LWÓW, CHORĄŻCZYZNA 31.
KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA".
:WE LWOWIE I WIERZBICKIEGO W WARSZAWIE. ::



PROMIEŃ

BIBUŁKI SASSOWSKIE

TUTKI HYGIENICZNE

5% na rzecz Towarz. Szkoły Lud.

HIPOLIT ŚLIWIŃSKI

SPÓŁKA PRZEMYSŁOWA I BUDOWLANA
— — Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ — —
OBECNIE
GALICYJSKA SPÓŁKA PRZEMYSŁOWA I BUDOWLANA
Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ

POLECA Z WŁASNYCH FABRYK w DROHOBYCZU i RZESZOWIE

CEGŁĘ OKŁADZINOWĄ, DACHÓWKĘ, CEGŁĘ DĘTĄ oraz inne WYROBY CERAMICZNE.

UPOWAŻNIENI JAKO ZARZĄDCY:

Dr. WOJCIECH DZIEDZIC — —
i WOJCIECH KRZYŻOGÓRSKI.

Nie mogąc osobiście sprawować zarządu fabryk zmieniłem firmę i zarząd.

Z poważaniem
HIPOLIT ŚLIWIŃSKI
główny współwłaściciel
drohobyckiej i rzeszowskiej fabryki
dachówek.

HIPOLIT ŚLIWIŃSKI

UPOWAŻNIONY BUDOWNICZY

BIURO TECHNICZNE

WE LWOWIE, — ULICA KADECKA LICZBA 6.
TELEFON NR. 528

wykonywa plany, kosztorysy, kierownictwo i kolaudacye wszelkich budowli we Lwowie i na prowincyi.

PRZEDSIĘBIORSTWO ROBÓT PUBLICZNYCH;

BUDOWĘ GMACHÓW RZĄDOWYCH, AUTONOMICZNYCH, — GMINNYCH, DOMÓW CZYNSZOWYCH, WILL itp.

Specyalny oddział dla architektonicznego wyposażenia budynków, zdobnictwa i wewnętrznych urządzeń. Na wezwanie stron funguje w sporach jako zaprzysiężony znawca sądowy.

POLECA Z WŁASNYCH FABRYK w DROHOBYCZU i RZESZOWIE

CEGŁĘ OKŁADZINOWĄ, DĘTĄ, DACHÓWKĘ I INNE WYROBY CERAMICZNE.



ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

GUSTAW DANIŁOWSKI.

BUDOWNICY I ŻOŁNIERZE.

Dobitne manifestacje akademików Wszechnicy Jagiellońskiej z powodu aresztowań krakowskich, strajk na uniwersytecie, pochody i zatargi młodzieży z policją, których byliśmy świadkami w ubiegłych tygodniach we Lwowie, należą do tych licznych symptomatów, świadczących, jak idea niepodległości i walki o nią zatacza coraz szersze kręgi.

Marzenie niewielu przed okresem tak zwanej rewolucji, rozwiane w dobie samego wrzenia przez licytację in minus na hasła narodowe z lewej strony i licytację in plus na ustępstwa aż do neoslawizmu i stawania na gruncie państwowości rosyjskiej z prawej — po zgnębieniu ruchu odradza się, jak Feniks z gorących popiołów tragicznych zdarzeń i niby różowa łuna oparów krwi przelanej zaczyna pełzać na mętnym niebie naszej Ojczyzny.

Przedśmiertny okrzyk Mireckiego; jedyne w toku całego procesu rzucone u stóp szubienicy wyrazy: „Niech żyje Polska Niepodległa!“ — rozlega się stokrotnym echem po kraju, bije poza kordon, by znaleść odgłos w Piemoncie Polski: w Galicji.

Nietylko wśród młodzieży, ale na wiecach obywatelskich, na zgromadzeniach socjalistycznych z ust ludzi poważnych wiekiem i stanowiskiem, padają dawno niesłyszane słowa; nietylko pod zwichrzoną czupryną, ale w głowach przypruszonych siwizną, zaczyna kiełkować przed niewielu laty wyklinana i wyśmiewana myśl, tułająca się przedtym jedynie w szczupłych szeregach „szlachetnych szaleńców“.

Co ważniejsze, postulat ten nie wypłynął z rezolucji jakiegoś przypadkowego zebrania, gdzie nieraz jeden dowcipny argument przeważa szalę, ale jest samorzutnym odruchem obudzonego przez

wstrząśnięcie zdrowego instynktu rwącego się z grobu do życia narodu. Przyjęty został bez dyskusji, jako rzecz zrozumiała sama przez się, o której przekonywać nie trzeba, a wymagających tego przekonania może i nie warto, są to bowiem w większości wypadków typy okaleczone przez niewolę, które straciły to wprost organiczne czucie potrzeby samodzielności i nie są w stanie już zrozumieć, iż najpewniejszą gwarancją pełni praw i pełni rozwoju dla każdego narodu jest własny dom, własna ojczyzna, władanie swoim losem; że w każdej sprawie zawadza nam nasze poddaństwo, uwiera jarzmo, że u siebie zawsze jest wygodniej, niż choćby tylko na komornym u Niemca, lub Moskala.

Na rozbudzenie tych niepodległościowych dążeń ogromny wpływ wywarły w Królestwie owe krótkie w miastach, a rozciągajace się w miesiące na prowincji „dni wolnościowe“, w których szerokie masy proletarjatu i chłopów poczuły, o ile szybszym i silniejszym tętnem zabiło ich życie, gdy zastraszony najazd przestał funkcjonować.

I jest to jedna z najtrwalszych zdobyczy minionej burzy.

W Galicji, oprócz wypadków w rosyjskim zaborze, które wywarły ożywczy, moralny wpływ na ościenną dzielnicę, powolna, ale stale postępująca demokratyzacja, wkraczanie na arenę dziejową świeżych, rewolucyjnie nastrojonych i najżywiej odczuwających łączność z całością Polski sił — wywarło swój skutek.

Tendencja przeobrażenia Galicji w rzeczywisty Piemont Polski i Ukrainy przestaje być ozdobnym frazesem, ale staje się realnym dążeniem socjalistycznych polityków i jako jeden z poważnych argumentów jest wysuwana w sprawie reformy wyborczej do sejmu.

Wszystkie te fakty wskazują, jak obłok niepodległościowych marzeń zstępuje na ziemię, przybiera coraz wyraźniejsze kształty, jak to wzbierające w piersiach narodu dążenie z dziedziny pobożnych westchnień wdziera się w sferę codziennej troski, jak osiągnąć ten cel najważniejszy?

I tu w obozie niepodległościowców natykamy się na szereg rażących różnic, źródło zatargów, wzajemnych inwektyw i lekceważenia.

Budownicy i żołnierze, rewolucjoniści i ewolucjoniści, tymi wyrazami możnaby określić w braku ustalonych terminów te dwa patrzące na siebie nieufnie odłamy. Pierwsi zalecają nie walkę, ale budowanie niepodległej ojczyzny, zdaniem ich ekonomiczny i kulturalny rozwój, podnoszenie na coraz wyższy poziom świadomości narodowej mas jest środkiem nietylko jedynym, ale i wystarczającym.

W perspektywie przedstawia im się dźwignięcie narodu na stopień takiej potęgi, że mocą własnego rozrostu wyłuska się z kajdan, podobnie jak nieprzebierane dziecko, zmężniawszy w młodzieńca, wyzbyłoby się bez wysiłku popękanego w szwach, zbutwiałego na nim ubrania...

Rozumowanie żołnierzy jest odmienne: zdaniem ich w dążeniu do wyzwolenia niechybnie nadejść musi moment, w którym wypadnie oko w oko zmierzyć się z siłami najazdu, wejść z nim w fizyczne zapasy, stoczyć w literalnym znaczeniu tego wyrazu wojnę — i że w tych bitwach rozstrzygać się będzie cała sprawa — na placu boju czeka nas pogrom, lub zwycięstwo.

A jeśli tak jest, należy się szykować zawczasu myśleć o pogotowiu zbrojnym, które stanowi, jedną z najżywszych trosk każdego państwa, nawet tych, które mogą uniknąć orężnej rozprawy, czekającej nas nieodwołalnie.

Ponieważ nie są to zgoła fantaści, w umyśle ich odbywa się następujący ścisły rachunek:

W samym Królestwie co rok rząd wybiera do czterdziestu pięciu tysięcy rekruta, który po trzechletniej służbie wojskowej, wraca do kraju; w ten sposób w ciągu dziesięciolecia nagromadza się wśród ludności około pół miljona wyszkolonego bojowo ludzkiego materjału — w sile wieku, armja, której prócz broni brak czegoś, czego ani kupić, ani dostarczyć w krótkim czasie niepodobna: sił kierowniczych — oficerów.

I oto na tle uświadomienia sobie tego najdotkliwszego braku, wykwitło owo silne zainteresowanie się warstw młodzieży gałęzią wiedzy uschłej u nas, zaniedbanej nie tylko w rzeczywistości, ale w języku — gałęzią nauki militarnej.

I na tym polega cała zbrodnia w oczach polskich władz Galicji, cała śmieszność i dziecinnada w oczach niektórych polskich dziennikarzy, kilku aresztowanych w Krakowie młodzieńców z całej rzeszy ciekawych t y c h książek i t y c h ćwiczeń.

Aresztowani pochodzą z Królestwa, jest to psychologicznie zupełnie zrozumiałe: na tle zaboru rosyjskiego w przeważającej liczbie wyrastają żołnierze — austryjackiego budownicy.

Budować trzeba, należy zawsze; rozwój kultury jest niejako naturalną funkcją każdego w normalnych warunkach żyjącego społeczeństwa — i tylko nasze upośledzenie zmusza podnosić tego rodzaju działalność do godności politycznego programu, — ale budować u nas właśnie niewszędzie można.

Jeśli w Galicji to budowanie się udaje, jeżeli w kraju, gdzie żywioł rodzimy odbywa służbę na miejscu — to budownictwo może sprowadzić efekt zgoła nawet nieprzewidziany przez samych budowniczych, to w Królestwie, tej największej części Polski, sprawa przedstawia się zupełnie inaczej.

Jest to kraj, gdzie klucze życia publicznego trzyma rząd samowładny, który jednym pociągnięciem pióra znosi instytucje dźwignięte krwawym wysiłkiem ofiarnych jednostek, gdzie działalność legalna sprowadza się często do d r ż e n i a o istnienie, nielegalną obraca w gruzy pierwszy z brzegu prowokator, kraj, gdzie cały aparat władz rosyjskich zmierza do zrujnowania polskiej kultury, by zaszczepić swoją, a że to się nie udaje, w rezultacie pozostają jedynie ruiny — gdzie dobro narodu jest rozkradane przez nienasycone łupiestwo biurokracji, ludność poniewierana i deptana przez dzikość obcego żołdaka, gdzie „wieszatel“, Skałłon, w sferach miarodajnych uchodzi za polakofila; dokąd z całego państwa z umysłu spędza się tłumy litwactwa, które rosyjskim szwargotem napełniają ulice miast, rosyjskimi napisami pokrywają ich mury.

Jest to kraj, w którym tylko nikczemny nie cierpi, a którego prawy obywatel czuje się bezpiecznym dopiero w więzieniu, to też nic dziwnego, że znalazłszy się w takiej sytuacji, ludzie nabierają ochoty budować... barykady, że niejeden marzyciel owego budownictwa, widząc jak mu policjant wydziera z rąk wszelką kulturalną działalność, zabiera się do studjowania taktyki, ćwiczy się w sztuce robienia bronią, w cnotach żołnierskich, przeświadczony, że prędzej czy później wypadnie mu stoczyć walkę, do której należy się szykować systematycznie, spokojnie, cierpliwie i nieustannie, by nie opuścić sposobnej chwili, pomyślnej szansy, która nieraz niespodzianie, jak wicher, nadchodzi i szybko mija.

Budujmy, ale nie bądźmy, jak owe głupie, biblijne niewiasty, którym w krytycznej chwili zabrakło oleju, ale raczej naśladujmy te mądre, które, jako, że podobnie do nas nie wiedziały ani dnia ani godziny, zaopatrzyły się w zapasy zawczasu, by, gdy o północy rozlegnie się krzyk i zjawi się możliwość zbawienia — mieć na czym ogień rozpalić.

Dr. MARJAN KUKIEL.

POLSKA WSCHODU.

„Polską Wschodu“ nazwał ongi Persję Wilhelm Liebknecht, niemiecki rewolucjonista, wróg wymowny i zacięty zaborczej polityki rosyjskiego imperjum. „Polska Wschodu“... Ileż gienjalnych przewidywań zawierały dwa te wyrazy, rzucone przed blisko pół-wiekiem... Jakżeż żywą staje w naszych oczach przeszłość własna, gdy patrzymy na ów odległy naród, będący na drodze do wewnętrznego odrodzenia i powstrzymywany na tej drodze przez obcych prokonsulów, poselską okrytych maską; gdy widzimy ów naród wichrem rewolucji targany; gdy widzimy, jak wicher ten znosi naraz rządy najezdnicze Igelstroemów-Liachowych i domowy rząd jurgieltników i zaprzańców, tamtym rządom podległy; gdy wreszcie słyszymy wydany na ów naród w dobie jego wyzwolin wyrok politycznej śmierci. Dzisiaj w Persji, jak ongi w Polsce, rola głównego zaborcy przypadła Rosji; dzisiaj w Persji, jak ongi w Polsce, dążenie głównego zaborcy do owładnięcia całości ustępuje miejsca połowicznemu, podziałowemu załatwieniu sprawy, czyniącemu zadość zaborczym instynktom drugiej potęgi sąsiedzkiej. Rolę Fryderyków i Fryderyków Wilhelmów wziął na siebie liberalny król angielski. I przypuszczać wolno, że tak, jak mord popełniony na Polsce, mimo tkwiący w nim zaród zawiści i utajonej walki między dwoma głównymi sprawcami, przecież samym faktem spółwiny stał się naturalną podstawą trwałego pomiędzy nimi związku, podobnie mord, który Persji zagraża, ufundowałby na długie lat dziesiątki ścisłą solidarność pomiędzy carską Rosją, a imperjum wielkobrytańskim.

Twórca nowożytnej mocarstwowej potęgi rosyjskiej, rosyjskiego imperjum, rosyjskiej racji stanu, Piotr Wielki, nietylko wskazał swym następcom drogę do zawładnięcia Rzpltą polską, nietylko godził tytułem imperatora i dobytym orężem w panowanie Otomanów na Morzu Czarnym i samo istnienie Turcji w Europie: przedsiębrał on wojenną wyprawę z przeszło stutysięczną armją nad mor e Kaspijskie, wydarł Persom jego południowe wybrzeże.

Był to początek przewlekłych wojen persko-rosyjskich. W drugiej połowie w. XVIII, powszechnym było w sferach dyplomatycznych przeświadczenie, iż polityka zaborcza Rosji rozwija się w myśl zasad, na piśmie wyłuszczonych przez Piotra w jego testamencie. Przy końcu stulecia — w r. 1796 — Semiramida Północy wysłała na podbój Gruzji swego faworyta, beznogiego Walerjana Zubowa (nogę postradał nad Bugiem od polskiego pocisku...). Posłowie obcych mocarstw roznieśli wiadomość, że po zaborze większej części Rzpltej polskiej doczekał się egzekucji inny punkt testamentu piotrowego— unicestwienie Persji. Pojmowano zaś już wówczas, że z chwilą opanowania Iranu przez Rosję nieodwłocznie musi już nastąpić śmiertelna jej rozprawa z Turkami, rozbiór państwa Otomanów. Waleczny Mechmed-Chan, władca Asterabadu, rozpaczliwą wieść musiał walkę z przemożną siłą najazdu, którego łupem stały się miasta Baku i Derbent. W tym samym czasie hr. Suworow Rymniński poprowadzić miał sześćdziesięcio-tysięczną armję nad Ren przeciw rewolucyjnej Francji. Zaniepokojone Prusy skłaniały się już do sojuszu z Republiką i z Portą Otomańską; podnieść się miała Polska. W powietrzu wisiała wojna europejska, która byłaby naraz wojną o Polskę, Turcję i Persję — wojną o rozwiązanie kwestji wschodniej. Śmierć Katarzyny, pokojowa polityka Pawła, wstrzymany pochód Zubowa, złożyły się na zażegnanie wojennej burzy.

W tym samym czasie dążył z Rosji do Francji generał Michał Sokolnicki, jeden z uwolnionych przez cara Pawła więźniów polskich. Wiózł wielką tajemnicę, wykradzioną wrogom, wieść o ich tajemnych zamysłach, o prawidłach, którymi rządzi się polityka Rosji w dążeniu do panowania nad światem. Sekret ów zwierzył polski tułacz rządowi Republiki w szeregu memorjałów. I nadszedł czas po nowym lat szeregu, że wielki mąż, stojący na czele Francuzów, a zarazem wielki „człowiek Europy“, cesarz Napoleon, zwrócił uwagę na rewelacje polskiego żołnierza. Przyobleczone w postać „Testamentu Piotra Wielkiego“ miały one objawić Europie, zrzeszonej pod sztandarami cesarza, grozę rosyjskiego niebezpieczeństwa. W „testamencie“ czytano między innymi: „Musimy przyśpieszyć upadek Persji, dotrzeć do zatoki Perskiej, dostać się do Indji, które są skarbcem świata“. Doniosłe te słowa ogłoszono w momencie, gdy złoto angielskie i krew moskiewskiego żołnierza jedną miały popłynąć strugą w śmiertelnych zapasach z Napoleonem. Zakrawało to na fantastyczne zmyślenie, na chęć siania podejrzeń i nienawiści między dwory skoalizowane; było w istocie rewelacją rzeczywistej dążności lub gienjalnym przewidywaniem. Dalsze dziesiątki lat przynieść miały ustawiczne podboje Rosji na Kaukazie, w Armenji, w Azji Centralnej, coraz ciaśniejsze zetknięcie się wpływów rosyjskich z angielskimi, coraz groźniejszą rywalizację obu mocarstw, kulminującą po raz pierwszy w wojnie krymskiej, po raz wtóry, przed kilku laty, w wojnie japońskiej, będącej w znacznej mierze dziełem angielskiej dyplomacji.

Gdy przed laty dziesięciu znakomity historyk początków Polski współczesnej pisał „Pożegnanie stulecia“, rzecz pełną mądrości dziejowej, syntetyczny wykład historji ubiegłego wieku w pierwszym jego trzydziestoleciu, wskazywał on na rywalizację Anglji i Rosji jako na plon najdonioślejszy minionego wieku XIX, jako fakt, mający dominować nad nadchodzącym wiekiem XX. Pogrom, jakiego imperjalizm rosyjski doznał na dalekim Wschodzie starczył, by z gruntu odmienić położenie europejskie, by odwrócić antagonizmy i aljanse. Cesarstwo Indji odetchnęło swobodnie. Odmiany polityki angielskiej domagały się interesy angielskiego handlu, domagała się zależność angielskiego przemysłu od surowców rosyjskich. Względy, które ongi, w roku 1791, podczas słynnej oczakowskiej debaty w Izbie Gmin, zrzeszyły przedstawicieli angielskiego kapitalizmu w akcji przeciw wojnie, zwichnęły antyrosyjski zamach Pitta, sprawiły, że Turcja została okaleczona, Polska wydana na łup Katarzynie — teraz, po upływie lat dwóch od pokoju w Portsmouth, uczyniły Anglję sprzymierzeńcem Rosji. Rząd petersburski po wschodnim pogromie wracał na dawne szlaki zaborcze, do Azji centralnej, wracał osłabiony, zrujnowany, dla Indji zgoła nie groźny, dla imperjalizmu wielkobrytańskiego wogóle nieskończenie mniej już niebezpieczny od Niemiec, które tymczasem krok za krokiem rozszerzały w Azji swe pokojowe, ekonomiczne podboje. Takiemu sąsiadowi mogła już liberalna Anglja spokojnie wydać na pastwę bagniska Ghilanu i Maranderanu, góry Aserbejdżańskie, pustynną wyżynę Persji środkowej, zdobywając sobie w zamian wyłączne panowanie nad zatoką Perską i morzem Omańskim, podcinając całe przedsięwzięcie kolei bagdadzkiej. Gotując grabież Egiptu potrzebowała wspólników grabieży. Przyjaźń anglo-rosyjska została scementowana krwią medżilisu — tego Sejmu Wielkiego odradzającej się Persji — krwią mordowanych w Stambule przez kontrrewolucję sułtańską młodotureckich oficerów. Ironja dziejowa chciała, by państwo niemieckie, wyrosłe polityką krwi i żelaza, stało się naturalnym obrońcą całości i niepodległości Turcji, naturalnym obrońcą Persji przed rozbójniczą polityką angielskich liberałów.

Jeśli zaś Niemcy zaangażowane są bezpośrednio w ocaleniu Persji i Turcji, to całość i niepodległość tej ostatniej leży również ze względów gospodarczych w bezpośrednim interesie Austro-Węgier, które nie mogą być zresztą obojętne i na rozbiór Persji, będący przygrywką jeno do nowych ataków na odradzające się państwo otomańskie. Jakiekolwiek są sympatje i nienawiści nasze, nie możemy składać obecnego ścisłego sojuszu między Niemcami, a monarchją naddunajską, jedynie na karb urojonego służalstwa jej względem Berlina. Istotna racja stanu wiąże dzisiaj nowe trójprzymierze, nieoficjalne, ale tym mocniej związane ze sobą: Austro-Węgry, Niemcy i Turcję. I nie wydaje nam się czymś absolutnie pewnym, że Berlin nie zaś Wiedeń, pierwsze skrzypce trzyma w swoim ręku.

Trzy tygodnie temu wiedeński korespondent „Słowa Polskiego“ witał coprawda z radością bliską naprawę stosunków między Austrją i Rosją, widząc w tym zbawienną przeciwwagę dla wpływów berlińskich. W rzeczy samej, słodka to perspektywa dla „wszechpolskiego“ patryjoty, ogarniającego wszystkie dzielnice patryjotyczną myślą: przyjaźń i harmonja między wszystkimi trzema cesarzami, którzy dziś najmiłościwiej nam panują. Błogie następstwa owej harmonji dały się już uczuć: w Prusiech pogłoski o blizkim wywłaszczeniu, w Krakowie policyjne wybryki *pour le tsar de*

Russie. W kilka dni później nowe zgrzyty wojenne. Jeszcze dni kilka: sielanka poczdamska, cesarz Wilhelm i cesarz Mikołaj układają pono nowe „święte przymierze“ ku zbawieniu zagrozonego monarchizmu w Europie, pogłoski o wywłaszczeniu podtrzymują się, alarm we Wiedniu, nasi „dyplomaci“ wzdychają: czemuż Aehrenthal nie udobruchał Izwolskiego! Minie znowu dni kilka i prysną jak bańka mydlana utopje związku trzech cesarzy: bo zasady monarchiczne nigdy w polityce mocarstwowej, zwłaszcza zaś w polityce Prus, nie miały prymu przed realnym interesem, przed dążeniem do korzyści politycznych, czy ekonomicznych. Obecnie zaś jedne i drugie streszczają się dla Prus w dążeniu do utrzymania wbrew Anglji i Rosji *status quo* w Persji i w Turcji. Dziś część prasy wiedeńskiej żałuje, że stosunki z Rosją nie są najlepsze, część prasy petersburskiej woła: niech żyją Niemcy! Jutro znowu staną naprzeciw siebie trzy mocarstwa rozbiorowe z bronią u nogi.

A gdyby nawet romantyczne fantazje podstarzałego władcy Niemiec mogły pokierować polityką państwa w kierunku sprzecznym z niemiecką racją stanu, gdyby osłabł sojusz austro-niemiecki, nie zmieni się i zmienić się nie może polityka wschodnia Austro-Węgier, pozostaną w mocy ich konwencje wojskowe z Rumunją i Turcją. Pouczające zaś uwagi o strategicznym znaczeniu tych konwencji na wypadek czynnego wystąpienia Rosji w sprawach bałkańskich zawiera ostatni zeszyt dobrze poinformowanej „Danzers-Armee-Zeitung.“ Nie są Austro-Węgry bowiem zgoła, jak u nas się powtarza chętnie, zdane na łaskę niemieckiego sojusznika. Mocarstwo silne, a bez apetytów zaborczych, nie może być samotnym. Zamiast obłąkanego nawoływania hr. Aehrenthala do przejednania Rosji, powinniby nasi politycy zniewolić go raczej do szukania nowego sojusznika — w narodzie polskim.

Jakkolwiek ułoży się stosunek wzajemny mocarstw rozbiorowych i cokolwiek wyniknie z takiego ich ku sobie stosunku, jedno jest pewne: żę rozum polityczny polski od czasu trzeciego rozbioru nie harmonję zaborców stawiał za wytyczną polityce narodu. Bez różnicy przekonań i chwilowej orjentacji, wszyscy działacze nasi w dobie wyzwoleńczych naszych wysiłków szli po linji, przez Ignacego Potockiego wytkniętej: usiłowali oprzeć swe działania o jedno, lub drugie z mocarstw rozbiorowych, przeciwstawione innemu. Jeśli zaś nawet nie wierzy się w istotny wybuch, jeśli nawet mielibyśmy zarzucić myśl o wielkim wyzwoleńczym czynie, pozostaje fakt — że wtedy w naszej dzielnicy mamy wolność tchu, wolność narodowego rozwoju, wolność stwarzania przyszłości, gdy nad Wisłą unosi się bliższa lub dalsza „groźba wojny“.

Wróćmy jednak do Persji. Niebezpieczeństwo, które nad nią zawisło, jedną bodaj rozwiać powinno legendę — legendę o arcyliberalnej, arcyhumanitarnej Anglji, uzdrawiającej wszystko, czego dotknie. Niedawno przecież, po zjeździe w Rewlu, cieszyć się nam kazano, że oto Anglja wpłynie na zmianę stosunku Rosji do nas, autonomję nam wyjedna. Nie przeszkodziła Anglja zamachowi na Chełmszczyznę, zamachowi na Finlandję. Nie wyniknie autonomja Polski z przymierza anglo-rosyjskiego: związek rekina z niedźwiedziem spłodzić może jeno ruinę Polski Wschodu.

A. STRUG.

MOGIŁKA.

6)

Gołoński — wędliniarz — położył się na ziemi i rzęził.

— Cóż z wami będzie?

— Wody — na miłosierdzie boskie.

— Wody niema, ale jakże wy dalej pójdziecie?

— Zostanę tu zostanę, nie bójcie się nic. Kozacy mnie tu znajdą i dobiją.

— Pomożemy wam. Weźmie was dwóch mocniejszych między siebie pod pachy. Wydychajcie się tymczasem . . .

— Gnać się dalej tak nie będzie.

— Bić się tu chyba będziem gdzie niedaleko.

— Proszę was, bracia . . . każdego z osobna, który się dzisiaj uchroni . . . Do żony mojej napiszcie, do Turobina . . .

. . . . Litości, kroplę wody w godzinę skonania . . . Moje pożegnanie i błogosławieństwo dla dzieci . .

. . . Niech wiedzą dzieci, żem dla ojczyzny... O Boże miłosierny ratuj! . . . Napiszcie żem w ostatniej chwili . . .

I pan Gołoński zaczął się dusić. Ratowali go, jak mogli.

— Panowie bracia! Koledzy — zaczął pan Szymborski — postanówmy sobie i przysięgnijmy sobie, że żaden się żywy nie da. Pomścijmy braci! Mamy po stodwadzieścia ładunków. Dwie godziny się możem bronić. Chwałą się okryjemy. Nabijemy Moskali. Koledzy!

— Módlmy się bracia. Na kolana padnijmy i opiece boskiej się oddajmy! Ręce do nieba podnieśmy i wołajmy z ufnością. Kto się w opiekę odda panu swemu!

— Cicho, stary, módl się po cichu. Zgłupiał z tego strachu . . .

— Ja się nie boję, bo Bóg nad nami!

— To wiadomo, ale Moskal bliżej.

— Nie bluźnij, bo wszyscy przez ciebie zginą!

Cisza zrobiła się za lasem. Ludzie uspokoili się i jaki taki układał się już do spania. Po kwadransie spała już połowa. Pan Gołoński leżał na wznak bez ruchu i bez kropli krwi w twarzy, z głową opartą na kolanach Rykwity, który siedział pod bukiem i spał chrapiąc głośno. Stary Lińkiewicz modlił się, klęcząc ze złożonymi rękami, z głową opartą o drzewo. Słońce przedostało się do nich przez obnażone gałęzie i w jego ostrym świetle pisały się na twarzach ludzkich wyraziście okropne trudy pochodu.

Przeglądało słońce obszarpany przyodziewek żołnierzy, uwalanych w ziemi, ich nędzne buty, ich broń dawno nie czyszczoną. Barwne liście bukowe migotały na słońcu i spadały na nich spokojnie, jak cichy śnieg. Wszyscy już spali; spali siedząc oparci o drzewa, leżeli na wznak, lub twarzami do ziemi, opierali się o siebie nawzajem, tulili się do siebie, lub chrapali, rozwaleni w pojedynkę opodal. Lińkiewicz modlił się ze wzdychaniem i głucho bił się w piersi. Pan Chądzyński pisał.

„— ...O czym może śnić człowiek, który ma umrzeć za chwilę?

— Ile lat musi minąć, zanim Polska dźwignie się po klęsce?

— Jakie pokolenie żyć będzie po nas? Czy długo nas będą wspominać? Czy sprawiedliwie osądzi nas potomność? Co nam będą pamiętać, czy nasze trudy i męki, czy też tylko to, że przegraliśmy sprawę?

„— Słodką jest chwila poświęcenia. Łaskawy jest uśmiech wieczności, witający zbliżającego się ku niej człowieka. Wszelka słabość płynie z ciemnoty. Gdybyż wiedzieli to co ja ci śpiący ludzie... Byłby między nami spokój, byłaby cicha radość...

„— I ja zostawiam życie, przyjaciół i kobietę kochaną, która nigdy nie dowie się, żem ją kochał i że myślałem o niej w ostatnich moich chwilach... A już niczego nie żałuję. Odeszło odemnie wszystko, co jest z tego świata. Niema już we mnie nienawiści do wroga, choć lada chwila będę słał ku niemu mordercze kule, zanim mi nie wytrącą broni z ręki. Ślepi są ludzie, dopóki żyją na ziemi...“

Pan Chądzyński podniósł głowę na szelest liści na drodze. Nie spodziewał się nikogo innego, jak tylko pułkownika z wachmistrzem i przewodnikiem, jakgdyby nie było już innych ludzi w całej okolicy. Niewyraźnie przez drzewa i krzaki zobaczył dwóch konnych, jadących stępo.

Głośno szurały po liściach kozackie konie. Pan Chądzyński spojrzał niespokojnie na śpiących, potym drgnął całym ciałem na myśl, że tamci dwaj poszli ku porębie i że to ku nim jadą kozacy. Dwaj konni znikli mu z oczu — tylko szelest liści szedł jeszcze za nimi przez chwilę i umilkł. Zaczął rozmyślać pan Chądzyński — czy budzić śpiących — czy iść na pomoc tamtym, czy i co należało robić. Czekał, czy za tymi dwoma nie jedzie większa siła. Nadsłuchiwał bacznie, aż wreszcie poznał, że kozacy byli przywidzeniem zmęczonego bezsennością i trudami umysłu. Bo oto teraz po węzłowatym pniu bukowym biegnie ruda wiewiórka, za nią druga, trzecia, dziesiąta. Wszystkie zwierzątka z całego lasu wyłażą na ten jeden buk. To widzi wyraźnie — a to przecie nie jest prawdą. Za drzewami biega tam i z powrotem jakiś pies czy wilk i znowu staje się bardzo dużo i psów i wilków. Ludzie śpiący, którym się przyglądał, uśmiechali się wszyscy przez sen. Uśmiechał się i modlący się na klęczkach Lińkiewicz. Ale pan Chądzyński dobrze wiedział, że to tylko złudzenie. To dziwne i zabawne — pomyślał i zasnął.

Znalazł się wśród rodzinnego miasta o jakiejś bardzo wczesnej godzinie. Ulice były puste, bramy i sklepy pozamykane. Dąży do czegoś, śpiesząc się gorączkowo i błądzi, zawraca i nie trafia w ulicach znajomych od dziecka. Nareszcie otwiera się okno na drugim piętrze — w oknie ona. Staje oczarowany. Nigdy na niego nie patrzyła tak, nigdy się tak nie uśmiechnęła. Woła do niego: „pójdź!“ Brama zamknięta, więc idzie po ścianie, czepiając się za co może, podnosi się szybko, z łatwością. W oknie ona podaje mu obie ręce, zbliżają się ku jego twarzy okrutne, cudne oczy i rozchylone usta. Ogarniają go płomienie niewiarogodnej rozkoszy.

Tuman snów unosił się nad powaloną przez trudy gromadą. Rafalski — kasjer pocztowy — uczynił jakiś fatalny błąd w rachunkach i po raz setny sumuje olbrzymią kolumnę cyfr, śpiesząc się niezmiernie i myląc się nieustannie. Morduje się i gorączkuje — bo w drugim pokoju siedzi pan pocztmistrz i czeka, uśmiechając się zjadliwie. Rafalski widzi, jak świdruje w nim złymi oczami z za okularów. On go śmie posądzać! Rafalski za chwilę zerwie się i znieważy naczelnika. Ale spostrzega, że stary urzędnik już kiwa ku niemu dobrotliwie ręką i uspokaja go: — panie kasjerze, daj pan pokój rachunkom. Teraz już wszystko jedno, jakie tam już teraz rachunki. Patrz pan, co się dzieje. I czyta głośno z gazety jakieś straszliwe, niewiarogodne nowiny, o niepojętych przewrotach, o tym, że księżyc zbliża się do ziemi „powoli ale stale“ i że za trzy tygodnie nie będzie ani śladu z życia ludzkiego. Nieprawda! woła Rafalski. Ano to pan czytaj. Pan pocztmistrz podchodzi i podaje mu numer. Ale Rafalski odpycha go i nie chce patrzeć! Okropny jest jego strach.

Szymborski mocował się z napastnikiem, który przygniótł go całym swoim ciężarem, dusił go za gardło i usiłował mu odebrać jego ładownicę ze studwudziestu nabojami. Rozpaczliwie broni jedynego swego skarbu, ale już omdlewa od wysiłków i widząc, że nie poradzi, zaczyna się targować: dam ci dwadzieścia ładunków — tylko mnie puść!...“

. . . .

C. d. n.

MARJA MARKOWSKA.

JESIEŃ.

Za mojem oknem huczy wiatr,
Gną się wylękłe drzewa...
Za mojem oknem huczy wiatr,
O ściany grzmi ulewa.

I tylko noc, i tylko mgła,
Ziębiąca mgła, wichura...
W głębinach leśnych dziko gra
Rozpaczy pieśń ponura.

Runął złowieszczy pomrok-kat
Na przerażoną rolą,
Odeszło słońce w cały świat
Na inną lepszą dolę...

I tylko serca złota baśń
Wciąż o tem słońcu śpiewa...
Druzgocze smreki wichrów waśń,
O ściany grzmi ulewa.

Bezemnie źrzały twe pszenice złote,
Twe chlebne żyta, wąsate jęczmiona.
Próżno mej duszy wieczystą tęsknotę
Wiodła ku tobie stopa okrwawiona.

W żebraczej płachcie — pokutnica licha —
Szła na rozstaje, kiedy zorze płoną,
Kiedy wieczorny powiew sennie wzdycha
W brzozach nad Chrysta cierniową koroną.

W dalekość, mgiełki modremi przysnutą,
Biegły twe drogi z piaskami złotemi,
Wieczorne echa grały jedną nutą,
Umiłowaną nutą mojej ziemi.

Wiedli się gwarnie siewcy i oracze,
Mrok gasił chciwie barwy ich odzieży,
Wzdychały kędyś fujarkowe płacze,
Od pól mierzchnących wietrzyk ciągnął świeży.

Bezemnie sierpy wyostrzyli krzywe,
Z komory kosy wynieśli dzwoniące,
Bezemnie sterty uzłociły niwę
I wonne stogi wyrosły na łące.

Bezemnie w chatach na stoły chleb nowy
Położą, sadów rumiane owoce
Zbiorą. Bezemnie już len międlą płowy,
Na wieczornicach wrzeciono furkoce.

Bezemnie....
Jesień oniemiła pola,
Śmiertelne giezło wiatr oznosi luty,
A za mną idzie czarna moja dola
Na krwawą drogę bezwinnej pokuty.

A uderzcie mi we dzwony,
Wiejskie dzwony jękliwe!
Niech głos leci rozżalony
Aż na piachy te siwe!

O brzeziny niech uderzy,
O krzyżyki spróchniałe,
Gdzie pół wioski w grobie leży
Panu Bogu na chwałę...

A uderzcie mi we dzwony,
Niechaj serce ich płacze,
Że odchodzę pochylony
Na ścieżyny tułacze,
Że na dolę mi czarną
Duszę smutki oprzędły,
Kędym w zagon siał ziarno,
Dziś kwiat leży uwiędły...

A uderzcie mi we dzwony,
Niechaj jęki ich słyszę
Nim przeminę — błysk zgaszony —
We mgłę wsiąknę i w ciszę.
Nie skąpcież mi tej godziny
Ich żałosnej odprawy,
Bo nie wspomni już nikt iny
Na mój w piasku ślad krwawy...

Żem jak mrozem liść zwarzony,
Że mną luty wichr miota,
Na Zaduszki bijcie, dzwony!
Na tę jesień żywota...

Jako na polu ten suchy
Kierz płony.

— — — — — — — — — — —

We mgle przepadły zagony,
Jeno się wichru podmuchy
Swarzą nad rolą
I gdziesi czarna woda
We krzach bełkocze....
Stargane wierzbin warkocze....
Jako te rany, co bolą,
Po pniach wydartych doły...

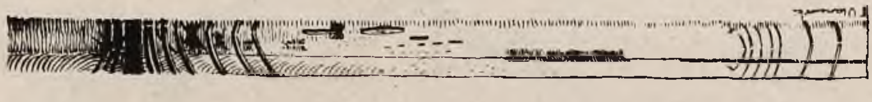
Drżą łozy głuchym szelestem,
A z mgłą i pustką wespoły
Śmierć cicho gwarzy: jestem...
Już jestem...

— — — — — — — — — — —

Jako na polu ten suchy
Kierz płony,
Ostał się człowiek stęskniony,
Kolące ostu puchy
Bezwolnie w dłoni chowa...
Ciężko opadła głowa...
Oczy tułacze
Biegną przez mgły
Na niewiadome drogi.

— — — — — — — — — — —

Ciepie się poświst zły,
Urąga wicher srogi,
Że jako w polu suchy
Kierz płony,
Ostał się Człowiek stęskniony
I łzy ma jeno, łzy...



O literaturze szopenowskiej ostatniej doby.

Jak każdego z wielkich, tak i Chopina życie, działalność i twory przechodzą do potomności, stają się jej własnością. Dzieła pozostają pomnikiem same dla siebie, ale osobistość twórcy, jej życie zewnętrzne, dzieje i życie wewnętrzne, psychiczne, to które jest zarazem twórczym, potrzebuje wniknięcia i utrwalenia.

Przytym, chociaż to rzecz jasna, jednak mało uznana, łatwo zgadnąć, że im osoba twórcy potężniejszą linją zarysowuje się na horyzoncie swego wieku, im jej duch, zwany pospolicie duszą, jest bardziej w swych objawach skomplikowanym, tym dalej musimy w czasie posunąć się, aby objąć całokształt.

To też biadania nad tym, iż dotychczas nie zdobyliśmy się na monografje naszych gienjuszów, nie należy brać zbyt tragicznie, bo dowodem to tylko, że jeszcze zbyt blizko nich jesteśmy, czyli oni za wielcy, aby ich jednym rzutem oka objąć było można. I tak też jest. Rozbieramy, wyszukujemy coraz nowe szczegóły i analizujemy, ale syntezy stworzyć jeszcze widać nie jesteśmy w stanie.

Nie stworzyliśmy ich przecież (naturalnie w znaczeniu doskonałości) ani w stosunku do Mickiewicza, ani Słowackiego, ani Krasińskiego. Nic dziwnego, że tymbardziej nie stworzyliśmy jej z ducha Chopina.

Przed laty sześciu wydały owoc badania nad życiem Chopina, datujące się od chwili jego śmierci (Liszt, Fontana), w książce F. Hoesicka, która w pierwszym, bardzo znacznym rozmiarami tomie zamknęła z ogromną dokładnością i precyzją zebrane wiadomości, aż do końca r. 1831. Na nazwę monografji dzieło to nie zasługuje w zupełności, raczej na miano kroniki dotyczącej Chopina, a przyznać trzeba, w dokładności nie pozostawiającej nic do życzenia, chyba grzeszącej swym „embarras de richesses" nagromadzonych drobiazgów. Bądź co bądź z chwilą ukazania się tomu II. możemy uważać opisanie życia Chopina za uskutecznione, co, uwzględniwszy trudy i ogromny nakład pracy, za zasługę autorowi poczytać można.

Druga poważna praca wyszła z pod prasy drukarskiej w przeddzień roku jubileuszowego: to praca p. H. Opieńskiego, niezbyt wielka rozmiarami, ale posiadająca zalety znaczne. I tutaj idzie tylko o analizę. Jak sam autor w przedmowie powiada, „chodziło mu o sprowadzenie do jednej linji i zestawienie krytyczne wszystkiego, co miało zasadnicze znaczenie w życiu i twórczości Chopina, u nas zaś przyjmowanym było przeważnie w oświetleniu uświęconym długoletnią tradycją, a nie zawsze odpowiadającym duchowi współczesnych pojęć estetycznych i krytycznych." Tego rzeczywiście dokonał, zwracając zwłaszcza uwagę na dwie kwestje niedostatecznie lub fałszywie oceniane: wartość nieocenioną obu sonat i stosunek do George Sand. Oprócz jasności i popularności wykładu cechuje tę monografję fachowość autora, wybijająca się w rozbiorze i ocenie, obok wyrafinowanego smaku estetycznego i krytycyzmu, który każe mu pozostać na przyjętym stanowisku, a nie dać się porwać entuzjazmowi.

Jak spodziewać się należało, rok jubileuszowy przyniósł wiele. I tu na czele postawić należy broszurkę-odczyt St. Przybyszewskiego. „Jest i ona li tylko osobistym, skromnym wyrazem zbożnego i pokornego hołdu, jaki żywię dla nieśmiertelnego wieszcza i Duszy chrobrego Narodu, której Szopen jest widomym objawieniem i praca niniejsza nie rości sobie najmniejszego prawa do jakiejśkolwiek zasługi w badaniach nad życiem i tworem Szopena", ale właśnie dlatego, że jest ona „osobistym sądem" i to człowieka bądź co bądź wyjątkowo głęboko pojmującego Chopina, a przytym takiego potentata Słowa, rzuca się w oczy, a raczej pod uwagę. Wspaniałymi można nazwać n. p. rozdziały o Polonezie As-dur i Fis-mol, poniekąd nawet i o temacie b-moll. A jednak czujemy również wadę, leżącą w istocie samej twórczości autora. Język i tok myśli mimo swych olśniewających kaskad jest u niego zbyt brutalnym w swej sile, zbyt powiedzmy demonicznym, aby módz oddać subtelności seraficznego rysunku Muzy Chopina — mamy tu na myśli rozdział o Mazurku op. 41. N. 1. (Nawiasem podnieść należy wspaniałe wydanie tej książki).

Z wydawnictw popularnych wspomnieć wystarczy tylko jedno: prof. Niewiadomskiego o Szopenie, mogące posłużyć jako wyborny, bo przez fachowca skreślony przewodnik w twórczości i życiu Chopina; z większych prac, mających na celu próbę syntezy, Strengera: „O życiu Chopina, gienjuszu i duchu jego muzyki." Jest to rzeczywiście tylko próba syntezy, dlaczego, w to tutaj wchodzić nie możemy, przedewszystkim jednak, jak się zdaje, z powodu niefachowości autora, będącego tylko estetą i wielbicielem Chopina. A jeśli komu, to przedewszystkim krytykowi (bo nim musi być syntezujący) nie wolno być entuzjastą. Z tego też względu dołączona apoteoza na końcu może być piękną, wydana osobno, ale tutaj z całością nie licuje. Druga rzecz, a musimy przeciwko niej niestety z całą stanowczością wystąpić, to osobiste polityczne dygresje. O ileżby książka na tym zyskała, gdyby skreślić cały wstęp i parę ustępów pierwszej części! Jako niefachowiec nie powinien był też autor tykać kwestji takich jak: dlaczego Chopin tylko do fortepianu się ograniczył w swej twórczości i porównywać go z Beethowenem i Wagnerem, bo w dobrej wierze dojść można czasami do wniosków bardzo wątpliwej wartości.

Przyznać jednak trzeba młodemu autorowi prócz zapału i talentu przedewszystkim oryginalność i śmiałość w wypowiadaniu sądów, dużo przejęcia i wniknięcia w ducha muzyki Chopina, i mimo błędów uznać, że bez korzyści praca jego nie jest bo prócz, jak pragnie autor, budzenia zapału i miłości dla muzyki Chopina, stanowi krok naprzód w owym dążeniu do syntezy, której urzeczywistnienie nie wiemy kiedy nadejdzie, ale im więcej takich „kroków naprzód", tym bliżej celu.



J. KOTWICZ.

SPRAWY NAUCZYCIELSTWA LUDOWEGO.

Wraz z sesją sejmową zjawia się jak jej nieodłączny cień — nauczycielstwo ludowe, ze swymi postulatami poprawy bytu i poprawy stanowiska prawnego. I zwykle tą samą odpowiedzią żegnani odchodzą. Oto „brak finansów“, deficyty budżetowe, „klęski elementarne“, albo nawet „nieuzasadnione żądania wobec siedmiorazowego już podwyższania płac, albo „brak obliczeń, ileby polepszenie bytu kosztowało“ — słowem stereotypowe odpowiedzi, które nawet żadnych nadzieji nie budzą na przyszłość. Smutny jednak los nauczycielstwa nie pozwala mu zrzec się swej walki o byt i wciąż sypią się memorjały, pojawiają się obliczenia, postulat wyznaczenia poborów nauczycielskich w granicach czterech rang urzędniczych, rozkład płac znajduje się wnet gotowy do użytku ustawodawców; nauczycielstwo, obracające miesięcznie kilkudziesięciu koronowym budżetem, nie dość odżywione, ani ubrane, operuje w swych kombinacjach miljonami, podsuwając sejmowi gotowe projekty budżetów krajowych, któreby już uwzględniały jego spełnione życzenia. Słowem, sprawa nauczycielska nie schodzi z porządku dziennego, tak w dziedzinie ustawodawstwa krajowego, jak i państwowego. Wobec coraz bardziej ustalającego się pojęcia o beznadziejności finansów krajowych — zwróciło nauczycielstwo swój wzrok w stronę państwa i parlamentu ludowego, skąd jako — ludowe spodziewa się szybszej pomocy, aniżeli z kurjalnego sejmu. Merytoryczne zaś motywa tego kroku są następujące: Ustawa państwowa z r. 1869, która obowiązuje i z której się wywodzi ustawodawstwo krajowe, w § 55 opiewa w ten sposób;

„Najniższe pobory, niżej których żadna szkolna gmina zejść nie może, winne być tak wymierzone, ażeby nauczyciele i nauczyciele młodsi byli w stanie — wolni od wszelkich tamujących zajęć ubocznych — poświęcić całą swą siłę zawodowi, a prócz tego, aby pierwsi mogli utrzymać rodzinę odpowiednio do stosunków miejscowych“. — Wbrew temu nauczyciel ludowy tworzy często typ człowieka zgryźliwego, któremu twarde życie wykrzywia szyderczo usta, a niedola i troska jadem zalewa serce „Niech żyje“ — zakończyli okrzykiem włościanie pewnej wsi swe powinszowanie z okazji imienin swego nauczyciela — a solenizant w odpowiedzi na to rzecze: dobrze — moi drodzy — niech żyje — ale z czego? Zbytecznym zresztą byłoby udowadniać, że dzisiejsze zaopatrzenie galicyjskiego nauczycielstwa jest dalekim od tego wskazania ustawy państwowej — liczne przykłady głodowej śmierci światłodawców galicyjskich, schodzenia wdów nauczycielskich na żebry, sierot zaś do roli szumowin społecznych — są jaskrawym obrazem odległości wykonania od powziętego założenia ustawodawcy. Toteż sfery nauczycielskie licząc na demokratyczne zasady posłów parlamentarnych, licząc następnie na swój wpływ przy powszechnych wyborach — przy których jako doradcy ludu urośli w znaczenie ważnego czynnika politycznego, wietrząc doskonale ruinę finansową i niechęć do demokratycznego czynu, coby postęp i kulturę mas przyśpieszył — ze strony kurjalnego i konserwatywnego sejmu, — tysiącami petycji za pośrednictwem posłów składanych — walą w parlament, żądając, by artykułowi 55. państw. ustawy szkolnej dano ściślejszą stylizację, a mianowicie w brzmieniu następującym:

„Za najniższe pobory osób stanu nauczycielskiego, niżej których żaden kraj zejść nie może, mają być uważane pobory służbowe c. k. państwowych urzędników XI, X, IX, VIII rangi, tak co do poborów służbowych, jak i stosunków emerytalnych.“

Równolegle domaga się nauczycielstwo, aby państwo pokrywało przynajmniej 50% wydatków na szkolnictwo ludowe. Temu ostatniemu sprzeciwiają się konserwatyści, jak i sprzeciwiało się stronnictwo narod. demokratyczne z drem Głąbińskim na czele, z obawy o całość i nienaruszalność autonomji galicyjskiej. Ostatnio według zapewnień posła Zamorskiego na wiecu nauczycielskim w Zbarażu, poseł Głąbiński i stronnictwo ndeckie zmieniło swe zapatrywanie na korzyść tego żądania; tym sposobem przeto jest nadzieja urzeczywistnienia tego postulatu, zwłaszcza, że całe nauczycielstwo słowiańskie austryjackich krajów — jak i niemieckie— zgodnie i solidarnie domagając się tego, wywiera znaczny wpływ pod tym względem na swych posłów. To są podstawowe żądania nauczycielstwa ludowego w Galicji — wysunięte na czoło ich walki i zabiegów, lecz równolegle z tym wysuwa się postulat ułożenia pragmatyki służbowej, któryby ustaliwszy z jednej strony normy tych płac i awansów w myśl powyższych zasad, upewnił z drugiej prawnie stanowisko nauczyciela w społeczeństwie, zabezpieczył mu wolność działania na terenie prac społecznych i politycznych, aby nauczyciel nie był owym „grochem przy drodze, który każdemu wolno rwać bezkarnie“. — Swoboda obywatelska szczególnie u nauczycielstwa ludowego jest niezwykle doniosłego znaczenia dla rozwoju i postępu całości robót „u podstaw“ — a swoboda ta w dzisiejszych normach prawnych obowiązujących nauczycielstwo zupełnie nie istnieje, przeciwnie nauczyciel-działacz społeczny — jest dziś kontrabandzistą, który podszeptuje ukradkiem ideje i zamysły wrażliwszym jednostkom z swego sąsiedztwa. Czynić to musi chyłkiem, by nie zwrócić uwagi straży, na czele której stoi zwykle pleban tej wioski, a skład tej straży tworzą tacy rycerze pancerni, jak obszarnik, starosta i inspektor szkolny, i wreszcie wójt starościński. Stanowią oni nietylko „moralną“ opiekę nad czynnościami nauczyciela, ale wszyscy są formalnie upoważnieni do bystrej czujności jako władza, jako członkowie Rad szkolnych, miejscowych i okręgowych, bezpośrednio wykonywający nadzór nad szkołą i nauczycielem. Oto przykłady autokracji prowincjonalnych potentatów (zob. Głos nauczycielstwa). Starosta brzozowski wydał swojego czasu okólnik, w którym zaznacza, iż doszło do jego wiadomości, że niektórzy nauczyciele prenumerują pisma, zdradzające tendencje antyreligijne i socjalistyczne i t. d., przeto po myśli gremjalnej uchwały wzbrania c. k. Rada szkolna okręg. trzymania owych pism.

Albo: W powiecie żywieckim inspektor Widlarz na zwykły donos w sprawie prywatnego życia pewnej nauczycielki, wdrożył przeciw niej do-

chodzenie dyscyplinarne, poruczając przeprowadzenie śledztwa wójtowi tamtejszej gminy, przed którego trybunałem nauczycielka musiała czynić spowiedź ze swego życia.

W powiecie turczańskim nauczyciel zaskarżył starostę, zato, iż ten nazwał go djabłem. Zato wytoczyły mu władze śledztwo dyscyplinarne, „gdyż przełożonemu wolno przecież wypowiadać opinje służbowe".

Fatalnym zaś jest dla szkolnictwa i nauczycielstwa księże oko, patrzące już od wieków z nienawiścią w miejsce, skąd rodzą się promienie światła. Jakkolwiek minęło już czterdzieści lat od czasu zniesienia konkordatu w Austrji, a już na mocy ustawy majowej z r. 1868 zniesiono nadzór biskupów nad szkołami, nadzór kościelny nad nauczycielstwem, mianowanie inspektorów szkolnych przez biskupów, a ustawa ta jasno określiła „iż z wyjątkiem religji nauka wszystkich innych przedmiotów niezawisłą jest od wpływu kościoła," oraz, że mianowanie nauczycieli niezależne jest od wyznawanej przez nich religji — to jednak w istocie prawa zniesionego konkordatu żyją, a nadzór kościelny nad szkołą i nauczycielstwem jest wykonywany w całej pełni. Ksiądz jest najczęściej przewodniczącym Rady szkolnej miejscowej, przedstawiciele wyznań stanowią niemal połowę Rad szkolnych okręgowych, ważny też mają głos w Radzie szkolnej krajowej. Inspektorami szkolnymi mianuje się księży — dyrektorami seminarjów nauczycielskich we Lwowie i Krakowie są księża.

Nic więc dziwnego, że beznadziejnie szamoce się dusza nauczyciela — jak w pajęczej sieci. Nic dziwnego, że próby emancypacji nauczyciela ludowego z pod wpływu klerykalizmu w jego indywidualnych zapasach — przejawiają się n. p. w rewolucyjnym, demonstracyjnym zignorowaniu zaprosin na obiad do księdza dziekana — za co jednak jest się przez władze pociąganym do odpowiedzialności.

Nadzór nad religijnością nauczyciela jest tak daleko posunięty, iż specjalnymi okólnikami poleca się im modlić z książeczek w widocznym przez wszystkich miejscu w kościele, przystępować wspólnie z młodzieżą do spowiedzi, a w dziedzinę stosunków prywatnych wkracza ksiądz przewodniczący Rady szkolnej miejscowej, gdy rozkazuje (n. p. w Szaflarach) osłabionej po chorobie żonie nauczyciela — przybyć do spowiedzi wielkanocnej. Do wykonywania swej woli mają ci rozmaici a tak liczni przełożeni szereg środków dyscyplinarnych lub innych, które tak nienazwane, są jednak niemniej złośliwe i dokuczliwe. Artykuł 9. ustawy szkolnej krajowej pozwala przenosić stałego nauczyciela z miejsca na miejsce bez powodu, jedynie ze względów służbowych. Toteż są nauczyciele, ci „śmielszej natury", którzy stali się poprostu włóczęgami i tułaczami na tym świecie, przenoszeni z miejsca na miejsce, i to wtedy, gdy obsiał swój półmorgowy szkolny grunt, lub gdy za miesiąc ma zebrać, albo w czasie ciężkiej zimy, wśród organizowania Kółka rolniczego albo kasy rajfajsenowskiej, niekiedy przed porodem żony. Nauczyciel Głodkiewicz, który był delegatem nauczycielstwa do Rady szkolnej okręgowej w Kałuszu, zostaje bez śledztwa przeniesiony do powiatu przemyskiego, stamtąd zaś wnet do jasielskiego. Zapytując na audjencji wiceprez. Dembowskiego o powód przeniesienia, dowiedział się, że chodzi tu o jego zdrowie, gdyż szkoła jest wilgotna, a on przed szeregiem lat chorował na zapalenie stawów. Szkoła jednak, do której go przeniesiono, zniszczona była przez grzyb. Osobliwa ta czułość prześladowała go w dalszym ciągu, gdyż z jasielskiego przeniesiono go w powiat nadwórniański, obecnie zaś w powiat gorlicki. Wszystko to w przeciągu lat trzech — ze względu na zdrowie nauczyciela. Przenosin podobnych jest corocznie bez liku. A oprócz tego środka, który nie jest dyscyplinarnym — są właściwe karzące po przeprowadzeniu śledztwa, a te godzą już w tak podłe i marne pobory nauczycielskie. Śledztwo zaś toczy się w ten sposób: inspektor jest sędzią śledczym, który bada winę oskarżonego, przesłuchuje świadków; inspektor jest następnie prokuratorem, oskarżającym w tejsamej sprawie przed Radą szkolną okręgową; inspektor wreszcie jest wyrokodawcą ferującym wyrok na delikwenta wspólnie z Radą szkolną okręgową.

W ostatnich tygodniach inspektor nadwórniański ks. Abrysowski wytoczył śledztwo nauczycielowi za to, iż ten zaszedłszy do biura Rady szkolnej okręgowej, zapytał, czy tu jest biuro c. k. Rady szkolnej okręgowej, o czym nauczyciel powinien był wiedzieć.

Zapytanie to zatym miało cechę „niewłaściwej demonstracji" przeciw władzy przełożonej.

Drugim zarzutem w tym oskarżeniu było to, iż nauczyciel ten mimo trzykrotnego wezwania inspektora nie usiadł na „stojącej tam kanapie" — co było „dalszym ciągiem niewłaściwej demonstracji." Trzeci zarzut, iż zażądał od innego księdza — delegata Rady szkolnej, którego nie znał, wylegitymowania się — co było również obrazą przełożonej władzy.

Drobne to zaledwie przykłady dowolności ustaw szkolnych i nieznośnych stosunków służbowych, które miałaby zmienić przyszła pragmatyka służbowa. Zadaniem jej byłoby uregulować także płace w myśl poborów czterech rang, pięciolecia, zniżyć lata służby z 40. do 35. ustalić zaopatrzenie wdów i sierot, które dziś jest wprost skandaliczne, zapewnić wreszcie swobodę obywatelską nauczycielstwu ludowemu. O pragmatykę taką dopominają się energicznie organizacje nauczycielskie, szczególnie zaś najsilniejszy kraj. Związek nauczycielstwa, który wspólnie z nauczycielstwem całego państwa, przygotowuje projekt. Tymczasem Towarzystwo o kulturalnym charakterze swej pracy, Pol. Towarzystwo pedagogiczne, w łonie którego skupia się oprócz przestawicieli władz szkolnych, radców i inspektorów, reakcyjna i klerykalna, choć drobna część nauczycielstwa, Towarzystwo przez ogół nauczycielstwa znienawidzone, jako narzędzie władz szkolnych, dziś w ręku nar. demokratów — wystąpiło z projektem pragmatyki, który nie tylko, że nie gwarantuje nauczycielstwu tego ważnego momentu w demokratyzacji społeczeństwa t. j. wolności działania poza szkołą na terenie społecznym i politycznym, lecz nadto obmyśla ten projekt nowe sposoby kar i dolegliwości dla nauczycielstwa — jakgdyby był projektem c. k. Rady szkolnej krajowej.

Szybkie załatwienie żądań nauczycielstwa, poprawa bytu, unormowanie stanowiska prawnego przyczyniłoby się wielce do rozwoju oświaty w naszym kraju. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że nędza materjalna i niewola duchowa nauczycielstwa

nie pozwala mu odegrać tej roli, jakiej od niego winno się społeczeństwo domagać. Wśród takich warunków — jakie dziś przeżywa nauczycielstwo ludowe, stara się ono jednak zająć reformatorskie stanowisko w dziedzinie szkolnictwa ludowego i powszechnej oświaty i z organizacji ich (które później omówimy) wypływa inicjatywa do zmian w szkolnictwie, jak i ostra krytyka dzisiejszego systemu szkolnego. W czasopismach swych, na wiecach publicznych, w reprezentacjach wybieralnych — coraz głośniej i sympatyczniej można słyszeć głos nauczycielstwa, które upominając się o los swój — równocześnie informuje społeczeństwo o szkole. Poprzez trudne swe położenie, wydobywa się przecież opinja u sfer nauczycielskich, która coraz bardziej zwycięża, że o najwyższe dobro z urządzeń społecznych — szkołę dbać i bezpośrednio o jej reformę walczyć winny wszystkie postępowe sfery naszego społeczeństwa. Lekkomyślna i ryzykowna teza prof. Lucyna z Helsingforsu, że genjalność nie jest ani wybrykiem natury, ani darem nadprzyrodzonym, lecz wynikiem pomyślnych okoliczności wychowania, że w mocy szkoły leży najzupełniej genjalizacja młodych pokoleń, teza ta, jest wyrazem opinji nauczycielstwa o sobie — napawając je szlachetną dumą do swej wielkiej misji, zmusza zarazem do tym energiczniejszej walki o byt, dla zabezpieczenia podstaw swego zawodowego i wysoce ideowego zadania. Nigdzie tak ściśle nie są związane postulaty materjalne z losem celów idealnych, pożytku społecznego i politycznego — jak w rozwiązaniu palących potrzeb nauczycielstwa. Załatwienie kwestyi nauczycielskiej — toż jedno z najważniejszych zadań demokracji.

Dr. JUDYM.

RADA SZKOLNA KRAJOWA O STANIE WYCHOWANIA PUBLICZNEGO.

Pod powyższym nagłówkiem pojawił się niedawno spory tom, ilustrujący wyniki wychowania publicznego w Galicji za lat kilkadziesiąt t. zw. samorządu. Kto przypomina sobie z historji owoce pracy Komisji a potem Izby edukacyjnej, kto zna obywatelskie usiłowania Kołłątaja, Czartoryskiego, Czackiego, Stan. Potockiego, ten wie, że w dobie porozbiorowej ludzie najlepsi uważali dzieło edukacji narodowej za podstawowy warunek lepszej przyszłości. Zresztą nie tylko u nas, ale w całej Europie zachodniej uznano wychowanie narodowe za zasadniczy fundament pracy publicznej. Zapytać się godzi, czy usiłowania Rady szkolnej galicyjskiej w okresie samorządu były rzeczywiście zrozumieniem tej najprostszej prawdy, czy na czele szkolnictwa stawali ludzie, przejęci szerokim duchem obywatelskim, czy dorobek za lat kilkadziesiąt odpowiada możności rozwojowej i dzisiejszym potrzebom społeczeństwa.

Odpowiedź wypada niestety niekorzystnie. Nie da się zaprzeczyć, że szkoła galicyjska posiadała i posiada liczne szeregi znakomitych pedagogów-obywateli, że ludzi z najlepszymi chęciami spotykało się nawet w Radzie szkolnej, — przecież dorobek dotychczasowy jest za mały i niewystarczający. Główną tego przyczyną był system polityczny partji konserwatywnej, trzymającej dotąd rządy kraju niemal niepodzielnie w swoim ręku. Konserwatyści galicyjscy lękali się oświaty, trwożni o samolubne interesy i przywileje, robili tedy dla szkolnictwa tylko to, co musieli ze względu na przynależność do państwa, rozwijającego troskliwie oświatę publiczną, ale nie mieli nigdy szerszych zapędów obywatelskich, nie mieli względu na dobro ogólnonarodowe. Wszakże do niedawna czytało się w sprawozdaniach Rady szkolnej o „hyperprodukcji inteligencji“, o niechęci ludności do ciężarów szkolnych i tym podobne kwiatki przedpotopowe. Wszakże do dzisiaj władze szkolne za pierwsze swoje zadanie uważają zatruwanie życia nauczycielstwu i na tym ogniskują swoją samorządność. Wiemy wszyscy, jak sejm zachowywał się wobec nędzy nauczycielstwa ludowego, jak niesprawiedliwe sądy wygłaszali wiryliści duchowni o wpływie nauczycieli szkół średnich na młodzież. Wszystko to niezmiernie niedawne, niemal wczorajsze. Czyż lepiej jest dzisiaj w epoce zdemokratyzowanego parlamentu? Sejm galicyjski w większości swojej nie chce nic wiedzieć o potrzebach nowożytnego społeczeństwa, „przesądem“ nazywa demokratycznego ducha czasu, lęka się jak upiora prawdy naukowej, pali świeczki po staremu dla bałamucenia szerokiego ogółu, kierownikami szkolnictwa robi ludzi, którzy nie dorośli nawet do roli porządnego komisarza starostwa na prowincji.

Szerokie masy dają się prowadzić za nos, nie mają siły do otrząśnięcia z ciała narodu i ducha jego zgubnego pasorzytnictwa, prócz protestów nie mają energji do podjęcia walki o samoodrodzenie narodowe. Nadto od czasu do czasu zjawiają się oszuści lub znieprawieni mistycy, którzy wygłaszają tyrady o wyższości ducha polskiego, o specjalnym posłannictwie, — i usypiają kadzidłem frazesu czujność pracy narodowej. Jak gdyby posłannictwem Polski nie było to samo, co jest posłannictwem każdego narodu — to jest zdobycie światła, wolności i dobrobytu. Niech utopiści przeniosą się na puszcze afrykańskie i niech tam zakładają szczęśliwe na swą modłę państewka, a w kraju niech przestaną kłamać i wysługiwać się reakcji. Niech nie robią z Polski babińca ani kruchty kościelnej ani przedmurza wstecznictwa europejskiego.

Na szczęście duch czasu i u nas zdobywa serca i umysły, na szczęście rozumny patryjotyzm i uczucie humanitarne zatacza coraz szersze kręgi, nawiązuje do najlepszych tradycji przeszłości historycznej i zbroi się do walki bezwględnej przeciw hasłom samobójstwa czyli zgniłej wygody kilkuset wielmożów, którzy stracili prawo przewodniczenia narodowi w jego trudnych zapasach o przyszłość. Ten zdrowy duch czasu nie da się otumanić kłamstwem frazesu i pozywa przed sąd włodarzy dobra publicznego, jak

pan od sługi, żąda także obrachunku od stróżów edukacji narodowej.

I cóż ten obrachunek podaje? 60% analfabetów! 1235 gmin administracyjnych w r. 1908/9 bez szkoły! Przeszło 584.000 dziatwy w wieku szkolnym bez nauki! Wprawdzie sprawozdanie podaje cyfry mniejsze, ale pilny statystyk zobaczy łatwo pomyłki czy błędy czy przemilczenia rozmyślne, które wskazują, że sama magistratura szkolna wstydzi się istotnego stanu rzeczy. Około 30,000 dzieci kalek i niedorozwiniętych umysłowo bez żadnej opieki wychowawczej! Gdzież miłosierdzie chrześcijańskie u tych, którzy głoszą się jedynie prawowiernymi? Budynki przeważnie liche, często wynajmowane za drogie pieniądze, co trzeba uważać za marnotrawienie grosza publicznego, przymus szkolny niewykonywany, klasy przepełnione, podręczniki często bez żadnej wartości wychowawczej. Skądinąd zaś wiadomo, że nauczyciel pochlebca forytowany, nauczyciel obywatel ścigany jak zwierz, dyrektury obsadzane protekcyjnie, duch szkoły demoralizowany, aprobowane szpiegostwa i donosy! I to jest praca nad przyszłością narodu? To jest rezultat kilkudziesięcioletniego samorządu? Dopókiż taki stan rzeczy może być cierpianym? Czyż jest to wypełnieniem praw i obowiązków wobec państwa i narodu?

Zdumiewać się trzeba, że demokracja krajowa, wśród której tyle umysłów szlachetnych i tyle zrozumienia istoty rządzenia i tyle niewątpliwie miłości dla społeczeństwa, nie zakrzyknie nareszcie: już dosyć tego, że nie wywołuje burzy opinji publicznej, która zmusi do ustąpienia z włodarstwa tych, co identyfikują służbę publiczną i obowiązek obywatelski z wygodną synekurą i udzielaniem audjencji. Są dobra wyższe niż wygoda zbankrutowanej moralnie i materjalnie kasty — i to demokracja całkowicie zrozumieć powinna i przeprowadzić uzdrowienie. Niema dzisiaj miejsca dla panków, co chcą stać nad narodem, ale jest tylko miejsce z narodem i w narodzie, a wyższe stanowiska w służbie publicznej należą się najlepszym i najrozumniejszym, nie zaś „dwukrotnie czy trzykrotnie urodzonym". Niema dzisiaj miejsca dla idei staroszlacheckiej samowoli i swawoli z czasów upadku, a jest tylko miejsce dla bezwzględnej praworządności. Niema dzisiaj miejsca dla wpływów postronnych, bo gra w ciuciubabkę jest może zabawna i przyjemna, ale tylko w latach pacholęcych. Machiavellików i wielkich ludzi do małych interesów wcale nam nie potrzeba. Toteż demokracja, znająca z przykrego doświadczenia te arkany polityki nieroztropnie konserwatywnej (bo może być i roztropny konserwatyzm), powinna raz wyciągnąć należyte konsekwencje i wyzwolić kraj z pod kamienia młyńskiego, który miażdży najlepsze ziarna i rzuca je do błota, a atmosferę kraju napełnia kurzem plewy i przedpotopowego chaosu.

Szkół ludowych czynnych w roku sprawozdawczym było: polskich 2699, ruskich 2296, niemieckich 24, — w czym aż 3175 jednoklasówek, a 4603 typu wiejskiego — czyli o minimalnym zakresie nauki. Gimnazjów publicznych i prywatnych było: męskich 57 (w czym 5 ruskich, 1 niemieckie), żeńskich 8, szkół realnych 11, liceów żeńskich 12, seminarjów naucz. publicznych: męskich 13, żeńskich 3, szkół średnich przemysłowo-handlowych publicznych 7. Według wyznań było w gimn. męskich: łacinników 55·2% (w r. 1875: 66·67%, w r. 1883: 62·78%, w 1905: 58·81%), greckiego ob. 22·4% mojż. wyzn. 21·6% (w 1875: 11·96%, w 1883: 19·24%, w 1905: 19·76%); w szkołach realnych: łacińsk. ob. 67·5% (w 1875: 74·67%, w 1883: 66·86%, w 1905: 63·97%), greck. ob. 6·8%, mojż. wyzn. 23·2% (w 1875: 16.46%). Według narodowości było w gimnazjach: Polaków 77·6%, Rusinów 21·7%, Niemców 6·61%; w szkołach realnych: Polaków 93%, Rusinów prawie 6%. Z czego wynika, że prawie wszystka młodzież wyzn. mojż. i część obrz. greck. zaliczyła się do narodowości polskiej. Skutkiem tego mimo cofnięcia się procentowego młodzieży obrz. łacińskiego w ostatnich trzydziestu latach młodzież narodowości polskiej w całości wzrosła, bo w roku 1875 było w gimnazjach Polaków 74·02%, Rusinów 19·31%, w szkołach realnych Polaków 90·47%, Rusinów 6·02%. Tak więc proces kulturalny zdaje się iść w parze z procesem asymilacyjnym.

Jest przecież obok niektórych innych jeden szczególnie moment, zasługujący na radosne podkreślenie. Oto widzi się wzrastający napływ młodzieży do szkoły. Szkoły średnie zapełniają ponad 40.000 uczniów i uczenic. Ta żądza oświaty u szerokiego ogółu, statecznie wzrastająca, jest objawem niezmiernie pocieszającym. Gdy kraj wyzwoli się z pęt reakcji duchowej i prawda naukowa zdobędzie w szkole prawo obywatelstwa, jakież ogromne zastępy będą szły z roku na rok w kraj, w naród! Jakże szeroko rozlewać się będzie światło rzetelnej kultury, jakże szybko narastać będzie dorobek kraju moralny i materjalny. Rzecz przecież szczególna. Z tego faktu radosnego najmniej cieszyła się Rada szkolna krajowa. Drukowała to nawet w dawniejszych sprawozdaniach. Czy to nie znamienne!

Nie trzeba sądzić, że w Radzie szkolnej niema dzisiaj ludzi, ożywionych najlepszymi chęciami dla szkolnictwa. Są na szczęście, choć jest ich mniej niż być powinno. Niestety — zależni od polityki wstecznictwa, niepaństwowej i nienarodowej — nie mają mocy do zużycia sił swoich i zdolności tak, jakby to w pomyślnych warunkach uczynić mogli. Ich to cichej pracy trzeba przypisać niejeden dobry moment, widoczny na kartach sprawozdania.

Sąd ogólny o sprawozdaniu wypadł niepomyślnie. Wprawdzie mógłby ktoś powiedzieć, że przecież w porównaniu z innymi dzielnicami Polski Galicja wykazuje stan najświetniejszy, nie wolno więc sądzić jej tak surowo. Odpowiedź na tak postawioną kwestję zbyteczna. Galicja ma samorząd, ma dozwolony rozwój narodowy, czego nie mają inne dzielnice. Kto jednak pamięta, jak w okresie nadziei Kongresówka zerwała się z zapałem do dzieła oświaty, ten łatwo ujrzy obraz nieistniejącej świetności szkolnictwa galicyjskiego, który byłby rzeczywistością, gdyby kierownicy szkolnictwa tutejszego za lat kilkadziesiąt samorządu mieli bodaj szczyptę tego zapału i poczucia obywatelskiego, jaki objawił się w Królestwie w dniach niezapomnianych.

Z WARSZAWY.

Przed kilku miesiącami już władza zabroniła dziennikom zamieszczać wiadomości o dokonanych rewizjach i aresztowaniach. Pobudki tego zakazu są równie jasne, jak jego przewidywane smutne następstwa. Zawiadomienie w gazecie było zarazem ostrzeżeniem dla znajomych, aby się mieli na baczności i unikali rozszerzenia klęski przez nieostrożne korespondencje lub niepotrzebne wizyty. Obecnie znowu, jak przed 1905 rokiem, wszystko się załatwia i odbywa po ciemku i tylko szepty z ust do ust krążące, przenoszą wieści z jednego końca Warszawy na drugi. Tydzień temu odbyły się liczne aresztowania wśród młodzieży szkolnej. Podobno w jakimś mieszkaniu na Chmielnej aresztowano aż 6 młodocianych „spiskowców“ na tajnym zebraniu, poczym kilkunastu innych według adresów znalezionych a może podanych ochranie przez jakiego usłużnego tajnego współpracownika?) wyłowiono z domów. Między aresztowanymi są i uczennice Tejże nocy — podobno w związku z obławą na młodzież szkolną, aresztowano znaną we Lwowie studentkę, panią Pepłowską, przewodniczącą związku studentek. Było to właśnie w przeddzień jej wyjazdu do Lwowa. Prawdopodobnie zbrodnia młodzieży polegała jedynie na zawiązaniu jakiegoś koleżeńskiego kółka samokształcenia lub samopomocy. W dobie uspokojenia i tacy właśnie winowajcy są pożądani jako lokatorzy aresztu przy ul. Spokojnej, boć i ten gmach musi się procentować przy obecnej drożyźnie mieszkaniowej. Statystyka urzędowa wykazuje w całej Rosji stały corocznie wzrost liczby uwięzionych, skutkiem czego ogólna cyfra więźniów nigdy nawet w najburzliwszych latach rewolucyjnych nie była tak wysoką jak wśród obecnego spokoju. Zjawisko to niczym innym się nie tłumaczy, jeno tym, że tępienie kramoły jest takim dobrym przedsiębiorstwem, jak każde inne, a w danych warunkach rozwija się pomyślnie, dając zarobek wciąż wzrastającej liczbie policyjnych wyżłów. Kto bliżej przyjrzał się więziennym stosunkom, które zresztą senator Neuhardt znalazł w zupełnym porządku, kto wie, jak tam każda rzecz ma swoją cenę, a nietykalność osobista znajduje się w prostej proporcji do stopnia zamożności, ten nie będzie daleko i długo szukał klucza do tej zagadki.

Co się tyczy rewizji senatorskich w ogóle, a senatora Neuhardta w szczególności, to mimo sprzecznych pogłosek zdaje się rzeczą jasną, iż ryzykowne to przedsięwzięcie — niesłychanie osłabiające powagę władzy, zaniechanym zostanie. W Rosji zdarzały się wypadki, że kontrolującemu senatorowi usłużni a dobrze wtajemniczeni koledzy urządzali kontrrewizję, która wykazała, że ten kto złodziei tropi, kradnie nie mniej niż oni. Trudno zresztą wyciągnąć jakiekolwiek praktyczne konsekwencje z odkryć nie stanowiących niespodzianki dla nikogo, gdyż niema kim złodziei zastąpić, zwłaszcza, jeśli z konieczności starannie omijać trzeba osoby nieprawomyślne. Tych ostatnich wykazały badania policyjne wprost imponujący procent. Na samą Warszawę przypada ich wedle statystyki urzędowej 200000. Okaże się zatym zapewne, że odliczywszy prócz dzieci, wojsko, policję, żundarmerję, biurokrację, arystokrację, dostawców intendantury i innych ludzi bezpośrednio z ustrojem państwowym zsolidaryzowanych — na kategorję prawnomyślnych pozostaną chyba tylko garstki zupełnie ciemnych analfabetów. Zważywszy różne ciekawe rewelacje ostatnich czasów i rezultaty wszelkiego rodzaju śledztw możnaby dojść do takiej klasyfikacji mieszkańców kraju: 1. Złodzieje i przestępcy kryminalni, 2. przestępcy polityczni 3. ci nieliczni, co jeszcze nie byli w więzieniu ani pod śledztwem.

Dotychczas jedynym bezpośrednim wynikiem rewizji senatorskiej w Warszawie — (nie licząc kilku spraw jak generałów Luby, Zyskanda, inżyniera Marszewskiego — jest ogromna haussa na giełdzie łapówek. Nie można się dziwić; im ryzyko większe, tym większe muszą być i zyski.

Z TYGODNIA.

SETNA ROCZNICA. W dniu 5. listopada roku bieżącego wiek minął od urodzin największego z mężów politycznych, jakich wydała Galicja — Franciszka Smolki. Za młodu węglarz-spiskowiec, sądzony na szubienicę, autor rewolucyjnej petycji marcowej roku 1848, prezydent rewolucyjnego rajchstagu we Wiedniu, dumny i odważny reprezentant konstytucji wobec tryumfującego samowładztwa w Kromieryżu, nieprzejednany wróg starej Austrji i nowszych Austro-Węgier, a zarazem polityk, niezłomnie dążący do przeobrażenia państwa Habsburgów na zasadzie federacji i samoistności narodów, człowiek duszy wielkiej, woli nieugiętej, przekonań mocnych i mocnej wiary, mąż stanu, upatrujący w teraźniejszości zawsze punkt wyjścia dla realizacji ideału — był on potężnym synem pokolenia, które zdolne było jeszcze śnić o potędze. Zwolennik oparcia narodowej przyszłości o przeobrażoną monarchję habsburską, Galicję chciał mieć polskim Piemontem, zawiązkiem Polski nowej i patrzył na sprawy tego zaboru z punktu widzenia owej upragnionej całości. Dla tego Piemontu polskiego chciał sejmu, mającego pełnię władzy ustawodawczej, nadewszystko zaś posiadającego ufność mas ludowych, chciał osobnego rządu parlamentarnego, chciał siły zbrojnej polskiej. Ilekroć w powietrzu czuć było nadciągającą burzę europejską, słał Franciszek Smolka w stronę Wiednia swą myśl sojuszu z Polską, wskazywał drogę, wiodącą do Warszawy. Realista, ale na wielką miarę, pogardzał utopją realizmu, który przystosowuje się do warunków niewolniczej istności. Był jednym z tych marzycieli, których marzenia ratunkiem są przed znikczemnieniem narodowego ducha. Dzisiaj przed wskrzeszoną wspomnieniem wielką jego postacią pochyliły czoła najbardziej nawet przyziemne — polityczne karły.

WYJAŚNIENIE. „Krytyka“ krakowska, witając pojawienie się „Życia“ uczyniła jedno słuszne zastrzeżenie, odnośnie do zwrotu, użytego przez nas w artykule wstępnym; zaznacza mianowicie miesięcznik krakowski: „czy istotnie w Galicji organu niezależnego i bezpartyjnego niema — można przeczyć“. My powiemy więcej: istnieje w Galicji od lat dwunastu miesięcznik, traktujący poważnie sprawy kultury polskiej i mający względem niej wysokie zasługi, miesięcznik, który w kwestjach naszego życia publicznego odzywa się „głosem wolnym wolność ubezpieczającym“, który wreszcie w ostatnich czasach nie wahał się wespół z „Trybuną“ i „Przedświtem“ jąć się ciężkiej pracy rozbudzenia ze snu *irredenty* polskiej. Pismem tym jest „Krytyka“ właśnie. Nie zamierzaliśmy zgoła zasług jej negować, wartości jej w wątpliwość podawać. Mowiąc o braku „niezależnego organu dla niezależnej myśli polskiej“, mieliśmy polityczne pisma na uwadze. Pragniemy szczerze, by obok „Życia“, pochłoniętego polityczną walką o sprawę demokracji, niepodległości, postępu, nadal rozwijała się świetnie i we wszystkich sprawach narodowych przemawiała uczciwie i śmiało „Krytyka“ krakowska.

JESZCZE JEDNA PRÓBA. (Ełka) Z reformą wyborczą do gminy stało się, co przewidywaliśmy. Znowu jedno posiedzenie komisji poszło na marne, znowu jeden czwartek z nowym odroczeniem. Sytuacja na ostatniej komisji wyjaśniła się o tyle, że gdy do tej pory tylko „Koło mieszczańskie“ zajmowało niedwuznacznie stanowisko reakcyjne, obecnie do „świętego przymierza“ przystąpili „narodowi demokraci“ (sit venia verbo) i nowoformujący się demokraci z pod znaku „w mętnej wodzie“.

Wzruszająca aż do ckliwości stała się owa zgoda „narodowa“, byleby nieuprawnionych do praw obywatelskich nie dopuścić. Jeden tylko „Klub reformy“ wytrwał na stanowisku rzetelnie demokratycznym i oświadczył, że do takiej karykatury, ośmieszającej raczej zasadę powszechności, nie przystąpi i zgłosi na pełnej radzie votum mniejszości, które zażąda aktu kompromisowego: dziesięciu mandatów z drugiej kurji, opartej ściśle na czteroprzymiotnikowym prawie głosowania, obniżenia cenzusu podatkowego w dotychczasowej kurji, oraz czynnego i biernego prawa wyborczego dla kobiet. Wobec takiego dictum acerbum nastąpił popłoch w kołach zjednoczonej reakcji. Pokazać przed samymi wyborami nieprzeparte samolubstwo — to przecież niewygodne. Wola buńczuczna większości zaczęła się naginać. Koniec końców poproszono „Klub reformy“, ażeby pozwolił jeszcze raz decyzję odroczyć do najbliższego tygodnia, może znajdzie się jakiś sposób porozumienia. „Klub reformy“ po dłuższej naradzie sprzeciwił się odroczeniu, oświadczył wszakże, że jeszcze tym razem wniosków z decyzji większości na najbliższym posiedzeniu rady nie będzie wyciągać, chc jeszcze raz przez jeden tydzień okazać cierpliwość, licząc niezawodnie na dobrą wolę przeciwników. Do pereł humoru strzelnicowego należy zaliczyć, że pojawiły się tam głosy, krytykujące reformę wyborczą do parlamentu, objawiające obawę przed analfabetyzmem we Lwowie i innymi, znanymi nieuprawnionym dzisiaj okropnościami. Ustępliwość i chęć dojścia do zgody doszła w „Klubie reformy“ do ostatecznych granic. Można ją ganić lub chwalić, nie wolno jednak zaprzeczyć, że podyktowana była pragnieniem istnego zaparcia się, aby dla sprawy reformy zrobić wszystko, co tylko możliwe, aby przedewszystkim ocalić zasadę powszechności, którą projekt „Koła mieszczańskiego“ i „zjednoczeńców“ wynaturzał i obalał.

Najbliższy tydzień pokaże, czy liczenie na dobrą wolę przeciwników tym bodaj razem odniesie skutek, czy zwycięży cielsko reakcji, czy duch demokratyczny.

Stoimy przed bardzo ciekawą dla stosunków w naszym mieście zagadką, a na jej rozwiązanie patrzymy pesymistycznie. Niemniej bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy byli w błędzie co do oceny reakcyjnych przeciwników rozwoju demokratycznego na ratuszu. Chodzi tu przecież nie o osoby, lecz o doprowadzenie do skutku wzmożenia myśli i pracy demokratycznej.

POTWORNY KOMPROMIS. Przy dźwiękach orkiestry ruskiej dętej i rzniętej, na komendę, daną przez „Czas“, posłusznie powtórzoną przez „Słowo Polskie“, stanął w sejmie galicyjskim pod hasłem narodowej obrony przeciw ruskim muzykantom kompromis między stronnictwami polskimi, tryumfalnie powitany przez „opozycyjną“ i „demokratyczną“ prasę. Zdawałoby się z tego tryumfalnego wrzasku, że uzyskała „lewica“ sejmowa jakieś poważne ustępstwo, że wyrzekli się konserwatyści przynajmniej petryfikacji ustawy wyborczej, że zarzucili veto kurjalne... Nie! Konserwatyści niczego nie zarzucili, niczego się nie wyrzekli, ani szczypty stanowego interesu nie złożyli na ołtarzu zgody narodowej. To tylko poczciwa lewica zgodziła się na to, by kurja obszarnicza mogła do współki z kilku wirylistami i rzez samo wyjście z sejmu udaremnić wszelką reformę, by istnienie kurji szlacheckiej potąd było zagwarantowane, pokąd duch Boży nie oświeci bodaj części znacznej wybranych z kurji owej posłów. Petryfikacja przykryta płaszczykiem — kwalifikowanej większości... A dalej: zachowany cenzus w miastach, wieś obdarzona pluralnością, monstrualna kurja powszechna o 10 mandatach, fałszująca wyraz woli proletarjatu przez pomieszanie go z wyborcami, głosującymi w innych kurjach, a przez to gwałcąca przyjętą zasadę „reprezentacji interesów“... I veto kurjalne nie na długo zdolne będzie obronić ową starą, acz odświeżoną po wierzchu, krzywdę wyborczą.

„SCENA ROBOTNICZA“ WE LWOWIE. (ż) W niedzielę w sali Kasyna miejskiego zostało odegrane przez robotników „Wesele“. Przedstawienie poprzedziła prelekcja G. Daniłowskiego.

Gra amatorów, składających się z ludzi ciężkiej pracy, dowiodła, ile w tych ludziach jest intuicyjnego odczucia i zrozumienia najwznioślejszych utworów naszej poezji.

Niektórych ustępów tym przygodnym artystom pozazdrościćby mogła niejedna trupa. Całość wypadła bardzo udatnie, a niektóre sceny świetnie, wprost porywająco. — Usterki nieliczne często płynęły głównie z niepomyślnych warunków technicznych, ze szczupłości widowni i braku odpowiednich dekoracji.

Tłumnie zgromadzeni widzowie przeważnie ze sfery robotniczej, z entuzjastycznymi oznakami uznania dziękowali za chwile podniosłych wrażeń swym towarzyszom.

PROTEST. Przepiękna mowa Ignacego Paderewskiego, wygłoszona w dniu 23-go październik i na inauguracji uroczystości Szopenowskich, zawierała wyzwanie, rzucone tym wszystkim, którym fakcyjna arogancja stronnicza ośmiela się odmawiać miana Polaków. Przeciwko „tragicznej pomyłce“ szlachetnego patryjoty z płomiennym wystąpił protestem w ogłoszonym drukiem liście otwartym znany autor pięknej impresji o Szopenie, Henryk Strenger. List ten, to zarazem rodzaj manifestu, wydanego imieniem tych, od polskości odsądzonych, wczorajszych i jutrzejszych bojowników „wolnej ludowej Rzpltej polskiej“. Odbyte we wtorek walne zgromadzenie „Życia“, stowarzyszenia, grupującego postępową młodzież polską, wyraziło solidarność swoją z protestem p. Strengera, który z ramienia tegoż „Życia“ był mowcą na Szopenowskim obchodzie.

Protest Henryka Strengera jest nowym dokumentem rozpalającego się coraz silniej wśród polskiej młodzieży szlachetnego i ofiarnego rewolucyjnego patryjotyzmu, który szczerością swą i wybuchową siłą milknąć każe partyjnym uprzedzeniom i niechęciom.

STAN WYJĄTKOWY W GALICJI. (x). Może zbyt jaskrawo zatytułowana ta notatka, ale fakt, który ona omawia jest pod względem administracyjnym zupełnie wyjątkowy. Od czasów Agenora Gołuchowskiego możnowładcy nasi chełpią się, że Galicja ma biurokrację polską, administrację polską. Wprawdzie urzędnicy ci, o ile pracują w c. k prokuratorji państwa, na poczcie, przy kolei, w żandarmerji, prowadzą korespondencję i całe urzędowanie po niemiecku; wprawdzie oddawna wyczekujemy, że pewnego pięknego dnia zdobędą się oni na tyle samodzielności, ile jej przed pa u laty okazali w Królestwie urzędnicy warszawsko-wiedeńskiej kolei żelaznej i motu proprio, nie czekając opinji centralistów wiedeńskich, wprowadzą język polski... — Słyszymy jednak wciąż pociechę, że dopóki szefami najwyższych urzędów są Polacy, — niebezpieczeństwo narodowe nam nie grozi. Przypuśćmy że tak. Otóż tu właśnie wi zimy zjawisko wyjątkowe. Dotyczy ono miłej naszej ck. policji. Wiadomo, że gdy w innych miastach i stolicach Austrji policja jest miejską i podlega burmistrzowi — u nas jest ona c. k. i podlega władzy, od autonomji zupełnie niezależnej. Gorzej jeszcze — i w tym widać ciekawe signum... Systematycznie c. k. rząd mianuje naczelnikami policji w Galicji urzędników narodowości niemieckiej. We Lwowie po Krzeczkowskim był nim p. Schächtel, który prowadził dom czysto niemiecki, obecnie jest nim p Reinländer. W Krakowie po Englischu był krótki czas Korotkiewicz, który znalazł był dość znośny modus vivendi z obywatelstwem Obecnie jest p. Flattau, o którym wiadomo, że niczego tak nie pragnie, jak przeniesienia do Berna lub Wiednia. owszem, szczęśliwej drogi, ale czemu na tym urzędzie rząd centralny sadowi zawsze Niemca? Tak mało ma zaufania do c. k. urzędników policji pochodzenia polskiego? Nie idealizujemy tych panów z pewnością, pamiętamy o panu Kostrzewskim, ale dla zasady należy stanowczo żądać od namiestnika, aby 1) policja rządowa ustąpiła autonomicznej, 2) aby na czele tej władzy stał urzędnik, którýby nie był obcy społeczeństwu, lepiej znał jego interesy i psychologię. Istotne „interesy służbowe“ z pewnością na tym nie ucierpią — znamy naszych c k kom sarzy, przestaną może natomiast dziać się rozmaite ordynarne anomalje, będące skutkiem rządów w kraju cudzoziemskich.

MISERICORDIA.

(g) Gdybym nie wiedział, że wszedłem do sejmu, mógłbym przypuszczać, że trafiłem do auli medycznej, w której demonstrują szpital warjatów.

W środku amfiteatralnie idących ławek, grupa furjatów czyni tumult piekielny. Kilku dmie w przeraźliwe gwizdawki, jeden wali jakąś łopatką w pulpit, jakby go chciał rozrąbać, inny dmie w trąbę, ktoś dzwoni sygnaturką, ktoś skrzeczy, odzywa się gong, trzaskają pulpity, dzwonią czynele. Po sali z watą w uszach uwijają się skołowaciałe postacie, wśród których zwraca uwagę praworządna maska namiestnika i przymilająca mu się figura syna macochy, byłego starosty z Mościsk i oby byłego wiceprezydenta Rady szkolnej.

Na katedrze jakiś manjak rusza ustawicznie ustami, jakby coś żuł — obok niego dwaj nieszczęśnicy notują uważnie bezdźwięczne ruchy jego ust. Tak wygląda sejm — i przedstawiciele narodów. Biegnąc okiem w górę na najwyższym miejscu spodziewałem się ujrzeć matejkowskiego Stańczyka z czapką błazeńską. Siedział tam wprawdzie stańczyk, ale nie ten z obrazu — świecący łysiną — osowiały marszałek. Obok wsparta na ręku świeciła łysinka syna papy — uśmiechające się wielkanocnie, miłe i tryskające całą inteligencją „Kroniki Powszechnej“ obiecujące oblicze.

Mówca — jak dowiedziałem się — p. Górski — żuł kilka godzin — rusińska kapela rżnęła cały czas, czyniąc wrażenie tartasu jakiejś fabryki kotłów, ciężkiej pracy, ale wykonywanej już bez zapału, jakgdyby najemnej.

Czasem tylko, gdy niestrudzony Staruch obejmował rolę kapelmistrza, dyrygując dzwonkiem miast batuty, stępiałe ze znużenia twarze ożywiały się na chwilę i wrzask instrumentów wybuchał donośniej.

Przedstawienie trwało około czterech godzin. Gdy zabierał głos przedstawiciel klubu Rusinów, p. Kost' Lewicki, zrobiła się cisza.

Przemówienie to pełne utyskiwań na krzywdy, które się dzieją w Galicji Rusinom — wywoływało pewne sprzeciwy ze strony posłów polskich, ale co dziwniejsze, nie zyskało nawet uznania podkomendnych mówcy.

Mówić o reformie! — przerywały mu głosy, a był nawet moment, kiedy pisnęła gwizdawka, zadzwoniła pobudka i zdawało się, że kapela wybuchnie.

Gdy zaś mowca przerwał, pragnąc dokończenie odłożyć na dzień następny — dobrze — odezwali się do marszałka jego towarzysze, ale pod warunkiem, że będzie mówił o reformie.

Był to w stosunku do swego wodza gruby nietakt odznaczającej się brakiem taktu orkiestry. W kuloarach słyszałem, jak poseł Makuch dowodził, że każdy taki występ muzyczny to 2 mandaty więcej! Jeżeli się wygrywa istotnie tyle — to warta gra trąby.

Około trzeciej marszałek zawiadomił komiczną Izbę, że posiedzenie w sprawie budżetu trwało przepisaną liczbą pięciu godzin — a heca z tym samym porządkiem dziennym rozpocznie się nazajutrz.

(MK) Do Franciszka Smolki przyznał się — pan Majerski. Ten sam pan Majerski, który prezydując na kongresie polskim w Ameryce, nie chciał dopuścić do proklamowania niepodległości, jako dążenia narodu. Pan Majerski dawał do zrozumienia, że nie pozwala mu na udział w podobnej zbrodni stanu jego urzędowy charakter. Obecnie więc, przy okazji, gdy przyszło mu w sali ratuszowej przez dwie godziny bezmała brać imię Smolki — nadaremno, znalazł pan Majerski w jego życiu moment w sam raz — tak się poczciwcowi wydało — dopasowany do własnych losów. Smolka miał pono nie pierwej „złożyć przysięgę ojczyźnie“, aż uwolnił się od „przysięgi urzędnika.“ W tym cała różnica, że pan Majerski od „prz sięgi urzędnika“ dotąd się nie uwolnił i traktuje ją jako przeszkodę w platonicznej nawet manifestacji na rzecz wyzwolenia ojczyzny. Bagatela! Można więc bezmała uzn ć w panu Majerskim — małe wydanie Smolki na rok pański tysięczny dziewięćsetny dziesiąty. I słusznie . . . „Lemberg, die fromme Kinderstube, ist keine römische Tyrannengrube.“ Uchowaj Boże!

Do Franciszka Smolki przyznało się również „Słowo Polskie.“ Proponujemy temu cennemu pismu ogłoszenie konkursu na temat: „Stosunek mowy prezesa Głąbińskiego przy otwarciu delegacji oraz przemówień Romana Dmowskiego, wygłoszonych w Petersburgu, Moskwie i Pradze, do przekonań i działań politycznych Franciszka Smolki.“ Do opracowania tak wdzięcznego przedmiotu nadawałby się zaś szczególniej *doctor subtilis* z Towarzystwa Jezusowego, ksiądz Pawelski. Zresztą imię tych „subtelnych doktorów“ jest legjon.

(K) Na cyrkowej arenie przy ogrodzie jezuickim szamotał się długo a po bohatersku konserwatywny Cyganiewicz z „markującym“ walkę atletą demokratycznym; teraz dla odmiany rozlegają się tam dźwięki pierwszej ruskiej orkiestry symfonicznej... Tak ciekawymi produkcjami zajęte społeczeństwo przestało, rzecz oczywista, troszczyć się o sprawę budowy kanałów. Prawda — był minister Biliński we Lwowie i wywiózł stąd uchwały klubów lewicy i centrum, żądających wykonania ustawy kanałowej, oraz bardziej platoniczną rezolucję sejmowej prawicy. Wysłuchał mów i uchwał, no i ogłosił światu, że rząd nie zbuduje kanałów, bo nie może, że wniesie nową ustawę, usuwającą poprzednią z r. 1901, odszkodowanie zaś — da później.

Ażeby zaś przekonać naród o błogosławionychskutkach zaniechania budowy kanałów, poseł Stapiński „robi“ tymczasem opinję, osmarowując nieszczęsne drogi wodne, jako wymysł Niemców i Żydów na zgubienie biednej Galicji i wszystkich „małych rolników“, jako „istne nieszczęście dla chłopa.“ Sejm milczy... Ani jeden głos w sali tego sponiewieranego, ośmieszonego, z każdym dniem niżej staczającego się sejmu nie przemówił dotąd w sprawie kanałów, nie zaprotestował przeciw olbrzymiej krzywdzie, przeciw grabieży 360 miljonów, mającej dotknąć rozdarte wewnętrznie, znieprawione i zniedołężniałę społeczeństwo galicyjskie.

(L) W ostatnich czasach w społeczeństwie naszym nastąpiło takie zdemoralizowanie targami o reformę wyborczą, że zatracono najprostsze podstawy logiki i k o m p r o m i s e m nazywa się obecnie wszelkie ustępstwa na korzyść reakcji.

Ostatnie posiedzenie komisji reformy wyborczej miejskiej jest tego najidealniejszym wzorem. Oto przewodniczący p. Biechoński oświadczył na wstępie, że projekt uchwalony przez większość na poprzednim posiedzeniu, a mający być podstawą do kompromisu, uzyskał sankcję trzech klubów, niechże więc i mniejszość się nań zgodzi a kompromis zatryumfuje. Tak wygląda obecnie określenie kompromisu w pojęciu „trójprzymierza“ większości Rady m. Lwowa, i „prawdziwie szczere“ dążenie jej do przeprowadzenia demokratycznej reformy wyborczej, która oparta jest na zasadach powszechności tylko o tyle, że nazwę powszechności zostawiono. Oczywiście posiedzenie komisji odroczono w nadziei, że opozycja wreszcie zupełnie ustąpi a „kompromis“ zwycięży. Wybory za pasem, lepiej więc, by ostatni akt komedji pt. „Reforma wyborcza“, odegrany został bez niepotrzebnych dyssonansów Niestety tych błogich nadziei nie podzielamy.

Jak wygląda „szczerość“ i strach przed wyborami świadczy drobny fakcik, który właśnie się zdarzył. Oto deputacja kobiet, walczących o reformę wyborczą, była między innymi u wicepr Eplera z prośbą o poparcie, którego oczywiście p. Epler nie odmówił. Deputacja zapomniała o sądzie p. Eplera o tej sprawie wyrażonym przed rokiem podczas demonstracji kobiecej za prawem wyborczem słowami „pończochy cerować“! a i p. Epler wolał o tym na razie zapomnieć. Przed rokiem! Niestety ma p. Epler pamięć zbyt krótką, bo zapomniał że przychylność swą okazał... przed tygodniem głosując przeciw roszczeniu prawa wyborczego dla kobiet. Tak krótka pamięć jest jednak conajmniej... lekkomyślnością.

PRENUMERATA WYNOSI: w Galicji i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier rocznie 20 K, półr. 10 K, kwartalnie 5 K. — W Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa rocznie 12 rb., półr. 6 rb., kwart. 3 rb. — Cena pojedynczego nru 40 hal. — Adres Redakcji i Administracji Lwów, ul. Dwernickiego l. 11 A.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński. Redaktor naczelny Gustaw Daniłowski. Redaktor odpowiedzialny Juljusz Łopatka. — Odbito w Drukarni Polskiej, Lwów, ul. Chorążczyzny l. 31.